

## **Agnieszka Kołakowska: Czy cieszę się, że nagrodę Kijowskiego dostała kobieta?**

Coraz bardziej widać pogardę klasy rządzącej dla reszty społeczeństwa



**Coraz bardziej widać pogardę klasy rządzącej dla reszty społeczeństwa**

*Tekst powstał na podstawie wystąpienia Agnieszki Kołakowskiej w czasie wręczania jej Nagrody im. Andrzeja Kijowskiego*

Nagroda ta jest dla mnie wielkim zaszczytem, na który mam głębokie poczucie, nie zasłużyłam. Ale nudne i niewdzięczne, w tę 60 rocznicę śmierci Stalina, którą dziś obchodzimy i o której jak najślusniej

wspomniał mój laudator – upierać się przy tym. Powiem tylko, że może sposób, w jaki starałam się zidentyfikować i określać zjawiska, które zaczynały występować w Polsce dziesięć czy kilkanaście lat temu, gdy zaczynałam pisać te teksty (a w krajach zachodnich występowały już od jakiegoś czasu), był wtedy w Polsce nowy, że opisywanie i interpretowanie ich w kontekście tego, co działo się w innych krajach Europy, też nie było powszechne, i może to jest tym, co stanowi o inności tej książki i o tym, za co została ona w ten sposób wyróżniona. Dodam jeszcze, że czuję się tym zaszczytem zobowiązana do dalszej pracy, do myślenia, do usilnych prób zwalczania swojego lenistwa, i obiecać, że będę się starać do niego dorosnąć. To znaczy nie do lenistwa dorosnąć, tylko do zaszczytu.

Dziękować też zbyt długo nie będę, bo to nie Oskary. Ale chcę podziękować wszystkim w Teologii Politycznej, za zachęcanie i chuchanie i ponaglanie z dobrocią i cierpliwością świętych i wytrwałością godną lepszej sprawy – oraz wszystkim tym, którzy mi podsuwali rozmaite teksty czy wypowiedzi, licząc na to, że się wścieknę i coś napiszę z tą „pasją” o której była mowa. To zwykła wściekłość. Wściekłość jest niezwykle twórcza, gorąco ją wszystkim polecam.

Gdy zastanawiałam się, coż bym mogła dziś Państwu powiedzieć, zaczerpnełam rady od mojej znajomej prof. Marii Dzielskiej w Krakowie, która zasugerowała coś tak pięknego, że chciałabym to (za jej pozwoleniem) zacytować. Otóż prof. Dzielska powiedziała, co następuje: „Powiedz im, że ci, co tę nagrodę otrzymali, to nieliczni ekcentrycy, którzy widzą, jak Ty, że siły ciemności opanowują świat, a pitagorejska harmonia jest już tylko mitem, z którego obecne elity szydzą, deprawując resztę społeczeństwa przy pomocy hasła tzw. modernizacji.” Więc dziękuję także nieobecnej tu niestety pani prof. Dzielskiej za te piękne słowa.

Nim powrócę do Stalina, jeszcze słowo o feminizmie, bo mówiono mi – mylnie, jak się potem okazało – że jestem pierwszą kobietą laureatką

tej nagrody, i padały sugestie, że to powinno jakoś szczególnie mnie cieszyć. Jestem podobno drugą, nie pierwszą. Ale nawet to bycie drugą jest przez niektórych postrzegane jako ważne. Nie wiem, prawdę mówiąc, czy mnie to szczególnie cieszy. Na pewno nie cieszę się z tej nagrody JAKO kobieta, ani nie jestem dumna JAKO kobieta, ani jej JAKO kobieta nie przyjmuję. Czy cieszę się, że nagrodę Kijowskiego dostała kobieta? Oczywiście cieszy mnie, że tą kobietą jestem ja, bo trudno by było się tym nie cieszyć. Ale prawdę mówiąc nie zauważyłabym tego faktu, gdyby mi tego nie uprzytomniono. (To znaczy faktu, że to kobieta dostaje tę nagrodę, nie zaś faktu, że jestem kobietą, bo to jednak zauważyłam.) Ale z prawdziwym, pierwotnym ruchem feministycznym, tym z lat 50 i 60, który walczył o równouprawnienie kobiet, o ich równe traktowanie, o równe płace, o równość wobec prawa, zawsze byłam w całkowitej zgodzie. Wczesne amerykańskie feministki mawiały: „Kobieta musi pracować dwa razy lepiej i dwa razy szybciej, niż mężczyzna, by jej praca zyskała połowę uznania, co praca mężczyzny. Na szczęście nie jest to trudne.” Przyznaje, że z tym też właściwie zawsze byłam w zgodzie.

Natomiast – jeśli z okazji tej nagrody, a także oczywiście rocznicy śmierci Stalina, mielibyśmy podsumować sytuację obecną w Polsce i porównać ją z tym, co było dziesięć lat temu – modna dziś, a w Polsce przybierająca w życiu publicznym już groteskowe rozmiary, może skrajniejsze i bardziej jaskrawe, niż w innych krajach, polityka tożsamości grupowej, a zwłaszcza tożsamości określonej przez płeć lub orientację seksualną; narzucanie tego sposobu określania czy definiowania ludzi na poziomie instytucjonalnym i rządowym, stało się dziś czymś, czego zwalczanie powinno być priorytetem. Czymś, co woła do niebios o sprzeciw. Jest to jedno z najważniejszych i najgroźniejszych zjawisk, o których pisałam w tej książce – bo jest tak ściśle splecione z masą innych plag naszej post-nowoczesności. Polityka tożsamości grupowej leży u podstaw tej centralnej i

podstawowej dziś w UE i w każdym europejskim państwie polityki, która działa na zasadzie uprawnień dla poszczególnych, wybranych grup, i w ten sposób rozbija społeczeństwo, czyniąc je przy okazji niezdolne do jakiegokolwiek zorganizowanego sprzeciwu, bo wszyscy stają się wrogami wszystkich innych, w walce o swoje uprawnienia. Trochę jak stan natury u Hobbesa, choć może to lekka przesada. W każdym razie jest to coś, co niszczy społeczeństwo. Pani Thatcher słynnie powiedziała, że „nie ma czegoś takiego jak społeczeństwo”. Ale nie to miała na myśli, tylko coś wręcz odwrotnego. Cytat ten bywa na ogół wyjęty z kontekstu i nikt nie cytuje drugiej części tego zdania. A jego druga część brzmiała: „są tylko poszczególni ludzie”. Tutaj, w tym naszym zniszczonym społeczeństwie, jest odwrotnie: nie ma poszczególnych ludzi, każdy moralnie odpowiedzialny za siebie i swoje czyny; są tylko przedstawiciele pewnych grup, skłóconych grup interesów, zdefiniowanych przez taką czy inną tożsamość. Wybrani do polskiego sejmu zdają się dziś reprezentować nie wyborców, lecz właśnie poszczególne grupy, definiowane przez płeć i orientację seksualną.

Polityka tożsamości odgrywa podstawową rolę tak samo w dzisiejszym feminizmie (który wcale nie walczy, jak kiedyś, z dyskryminacją kobiet, lecz głównie trzodzi się niedopuszczaniem żadnej krytyki postaw ideologicznych z tym ruchem związanych i potępianiem wszelkich prób takiej krytyki jako „mowę nienawiści”), jak w tym, co się nazywa walką z homofobią, czy z islamofobią, czy z eurocentryzmem, czy właściwie z wszystkim, co można sobie wyobrazić. I wszędzie chodzi o to samo: nie o zwalczanie dyskryminacji – homoseksualistów czy muzułmanów lub innych religii czy ras – lecz o cenzurowanie i niedopuszczanie do głosu, de facto eliminowanie politycznych przeciwników pod pozorem, że szerzą oni „mowę nienawiści”.

Jedną z podstawowych rzeczy, która umożliwia to cenzurowanie

wszelkich kontestujących głosów, jest właśnie założenie, i jego usilnie rozpowszechnianie, że wszyscy przyzwoici ludzie podzielają pewną ilość podstawowych, lewicowo-liberalnych poglądów na świat. Wiąże się to też z coraz bardziej widoczną pogardą tzw. klasy politycznej czy szeroko rozumianej klasy rządzącej dla reszty społeczeństwa – klasy rządzącej, która odznacza się coraz większą homogenizacją postaw. I to widać tak samo w Polsce jak w innych krajach Europy.

Tak więc można całkiem poważnie mierzyć brzozę, grozić procesami za krytykę rządu czy premiera jako krytykę „państwa” czy podpalanie „państwa” (zbliżamy się z powrotem do pojęcia „wroga ludu”), mówić, że czarne jest białe a białe czarne, robić i mówić rzeczy, które wydają się z jakiejś mało wiarygodnej dystopii, i jakoś uchodzi to za normalne. Zostało przyjęte, że wszelka krytyka to mowa nienawiści. (Z wyjątkiem, oczywiście, krytyki tych, którzy postaw przyjętych przez klasę rządzącą nie przyjmują. Tych można obrzucać obelgami, ile się chce, i nie będzie to nigdy uznane za mowę nienawiści.) Można proponować dodatek do art. 256 kodeksu karnego, który brzmiałby: „kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści wobec grupy osób lub osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, społecznej, naturalnych lub nabytych cech osobistych lub przekonań (...) podlega karze grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”. Rzeczywiście brakuje tu tylko wroga ludu. Może ten artykuł, jeśli wejdzie do kodeksu, wsławi się tak samo, jak sowiecki art. 58.

To wszystko jest też oczywiście związane z wypaczaniem i manipulacją języka – i tu wreszcie wracamy do Stalina (który miał kodeks karny prawie tak samo piękny, jak ten, który proponuje się nam dzisiaj). Stalin był przede wszystkim, jak wiemy, wielkim językoznawcą. Jako wytrawny znawca manipulacji słów doceniłby piękno powyższego proponowanego artykułu. O języku i manipulacji słowami przez klasę

rzządzającą – takimi np jak: tolerancja, różnorodność (która wcale różnorodnością nie jest, ale całkowitą, najdoskonalszą homogenizacją i konformizmem), multikulturalizm (ani multi, ani kulturalny), demokracja, i wielu innych, dużo w tej książce pisałam. Mniej pisałam o tym, co stało się ze słowem „liberalizm”. A to jest może wśród najważniejszych zmian. Słowo to przejęła, zawłaszczyła sobie, lewica. Niestety bez szczególnego sprzeciwu ze strony prawicy. Liberalizm (w sensie angielskim) oznaczał kiedyś przede wszystkim: ograniczona rola państwa, indywidualizm, odpowiedzialność, wolność. Teraz zdaje się znaczyć coś odwrotnego: swoim liberalizmem chełpią się najbardziej nie-liberalni i nie-tolerancyjni, ci co by chcieli cenzurować i zakazywać i homogenizować, i wkładać wszystkich do szufladek z etykietkami takiej czy innej tożsamości grupowej, posługując się hasłem „mowy nienawiści”. Liberalizm dziś w Polsce znaczy: liberalizm lewicowy, w dodatku głęboko nie-liberalny, przeciwny wolności, przeciwny indywidualizmowi, przeciwny ograniczaniu roli państwa. Podobnie jest w innych krajach Zachodu. Ale w Polsce najbardziej niepokojące jest to, że część, może nawet większość prawicy to przyjmuje i odrzuca liberalizm zamiast próbować go ocalić.

Ostatnia rzecz – w kontekście tego, co się zmieniło, a raczej pogorszyło – o której w tej książce nie pisałam i o której teraz wspomnę. Są w Polsce dwie skrajności. Po środku – ma się poczucie – jest wielka pustka. Z jednej strony, wśród silnie obecnych na scenie politycznej wpływów, mamy przejęte z Zachodu wszystkie politycznie poprawne mody, w tym ostatnio wojujący ateizm. Z drugiej strony mamy prawicę w dużej mierze katolicką, której spora część domaga się całkowitego zakazu aborcji, ochrony życia od poczęcia w konstytucji, całkowitego zakazu in vitro, zakazu manifestacji gejowskich, odrzucenia jakichkolwiek związków cywilnych czy „partnerskich”. Jednocześnie jest ona [prawica] jeśli nie anty-wolnorynkowa, jeśli nie wręcz socjalistyczna w swoim podejściu do państwa opiekuńczego, to w

każdym razie nie stawiająca sobie jako celu zmniejszenie roli państwa. „Indywidualizm” bywa dla sporej jej części słowem brzydkim. O indywidualnej odpowiedzialności prawica wprawdzie od czasu do czasu coś mówi, ale nie zdaje się kłaść na nią szczególnego nacisku ani – co ważniejsze – wiązać jej ze spójną polityką społeczną. Ta pustka w środku wydaje się większa, a skrajności silniejsze, niż w innych krajach Europy. Nie sądzę, by strona katolicko-prawicowa, nawet gdyby udało jej się dojść do władzy, była na tyle silna, by – zwłaszcza w obliczu presji z Unii Europejskiej – w znaczący sposób odwrócić politykę kraju i skierować ją na pożądaną przez siebie drogę. Skrajność lewicowa natomiast – politycznie-poprawnościowa, multikulturowa i antychrześcijańska – dążąca do gigantycznego państwa, rządzonego przez biurokrację czy też technokrację „elit” – owszem. Skrajność ta będzie tylko zwiększać swoje wpływy, z pomocą Europy i wszystkich innych europejskich krajów z osobna. Katolicki konserwatyzm nie wydaje się najskuteczniejszą bronią, by temu zapobiec.

Ale wracam do ścieżki językowej. Kupowałam ostatnio meble na allegro. I czytam tam np. takie zdania: „Mebel został poddany procesowi renowacji... dzięki temu cechuje go wysoka jakość wykonania. Posiada uchwyty”. Póki w ten sposób mówimy, nie możemy jasno myśleć. A jeśli nie umiemy jasno myśleć, bardzo łatwo jest nami manipulować, manipulując językiem. To orwellowskie zagrożenie nie jest ograniczone do języka polityków, i jest tak samo żywe, jak kiedyś. Więc przypominam o potędze smaku i składni pozbawionej urody koniunktywu. Bo póki nasze włókna duszy i chrząstki sumienia wyrażają się w zwrotach takich, jak „posiada uchwyty”, jest niedobrze.

Na koniec, by podziękować państwu za cierpliwość, chciałabym powiedzieć przynajmniej jedną rzecz ciekawą, zabawną i kto wie, czy nie pożyteczną – bo nigdy nie wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać. Można uznać, że jest to kontynuacją wątku lingwistycznego.

Otóż dowiedziałam się niedawno, że duży zielony owad, jak najsluszniej zwany modliszką, nazywa się po hebrajsku wielbłądem króla Salomona. Dziękuję.

*Agnieszka Kołakowska*

Wystąpienie miało miejsce podczas uroczystości wręczenia Nagrody im. Andrzeja Kijowskiego Agnieszce Kołakowskiej za książkę "Wojny kultur i inne wojny" - zobacz więcej

Przeczytaj także Laudację autorstwa Antoniego Libery